

Rafał Witek
Klub Latających Ciotek

© by Rafał Witek
© by Wydawnictwo Literatura

Druga nagroda w III Konkursie Literackim
im. Astrid Lindgren



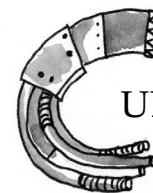
Okładka i ilustracje: Katarzyna Kołodziej
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie VIII, Łódź 2023
ISBN 978-83-8208-212-8

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



UDOWNA PODRÓŻ

– Nie chcesz chyba zawieźć Emila na wakacje do tej dziwaczki? – powiedział mój tata, kiedy mama pokazała mu list od cioci Stasi.

List przyszedł w połowie czerwca. Był w szarej kopercie, miał pieczętkę „Priorytet” i znaczek z szyszką.

– A właściwie dlaczego nie? – zapytała mama. – Ciocia Stasia to miła, serdeczna osoba. No i ma duży dom pod lasem.

– A oprócz tego rozmawia sama ze sobą, łązi codziennie na cmentarz i wróży z kocich smarków – skrzywił się tata.

– To ostatnie wymyśliłeś! – oburzyła się mama. – Poza tym Emil nie będzie tam sam. Ciocia zaprosiła też Sonię.

– O nie! – krzyknąłem.

Ze wszystkich moich kuzynów i kuzynek Sonia najbardziej działała mi na nerwy. Była o rok starsza i myślała, że z tego powodu może mną rządzić. Poza tym w ogóle nie zachowywała się jak dwunastoletnia dziewczyna, tylko jak herszt bandy. I to bardzo zły herszt.

– Już wolałbym spędzić wakacje w klatce z małpami niż z tą wariatką! – powiedziałem naburmuszony i poszedłem do swojego pokoju.

– Masz ci los! – Mama załamała ręce nade mną i nad tatą. – Obydwaj jesteście siebie warci! Najchętniej przesiedzielibyście całe lato przed komputerem i nie wystawiali nosa poza własny pokój!

– Dokładnie tak – przytaknąłem ochoczo.

Niestety, to nic nie zmieniło. Dwa tygodnie później zostałem spakowany i wsadzony do samochodu rodziców Soni. Jej mama miała nas zawieźć do Przejazdowa, bo moi rodzice jak zwykle nie mogli zwolnić się z pracy.

Przypięty pasami bezpieczeństwa do rozgrzanego siedzenia czułem się jak więzień wieziony w nieznane.

– Cześć, kuzynku! – powitała mnie Sonia, która zdążyła już narobić bałaganu na tylnym siedzeniu. – Widzę, że znowu udało ci się przytyć!

– A ja widzę, że znowu udało ci się zgłupieć! – odparowałem.

Sonia wydeła wargi i odwróciła się do okna.

W zielonej spódniczce i z zieloną spinką we włosach wyglądała jak patyk na wycieczce krajoznawczej. Tylko jej jasne oczy o zadziornym spojrzeniu zdradzały, że mam do czynienia z istotą ludzką. Gdyby ta istota była nieco miłsza, to można by nawet powiedzieć, że jest całkiem ładna. Przynajmniej z twarzy.

Mama Soni lubiła sportową jazdę. Kiedy sunęliśmy przez miasto, auto zrywało i hamowało na każdym światłach. Robiło mi się od tego niedobrze, ale nic nie mówiłem, żeby nie wyjść na cykora.

– Ciociu, długo będziemy jechać? – zapytałem.

– To zależy, ile będzie po drodze fotoradarów! – odpowiedziała mama Soni. – A co, już się nudzisz?

Pokiwałem głową.

– To pokłóćcie się jeszcze trochę z Sonią! – roześmiała się. – Dobrze wam to wychodzi!

Co za zwariowana rodzinka! – pomyślałem i spojrzałem niechętnie na moją kuzyneczkę. Sonia odpłaciła mi tym samym. Potem zacząłem rozplątywać kabelek od słuchawek do empeczwórki. Uznałem, że muzyka pozwoli mi się odciąć od tej nieznośnej sytuacji chociaż na czas podróży.

Niestety, byłem naiwny. Ledwie wyjechaliśmy za miasto, Sonia zaczęła szarpać mnie za ramię.



– Emil, zobacz! – powiedziała, podtykając mi pod nos swoją obdrapaną i porysowaną konsolę do gier. – Nie wiem, jak przejść na następny poziom!

Wziąłem od niej urządzenie i przez chwilę zapoznałem się z grą. Był to jakiś prosty tor przeszkód, trzeba było kierować skaczącą kuleczką tak, żeby omijać zasadzki i zbierać czerwone kropki po drodze.

– Chce ci się grać w coś tak durnego? – prychnąłem.
– Można się zanudzić!

Sonia wzruszyła ramionami.

Szybko przeszedłem ostatni etap gry i wskoczyłem na drugi poziom.

– Masz! – powiedziałem. – I nie budź mnie, zanim nie dojedziemy!

– Dzięki! – mruknęła Sonia. – Widzisz, nawet ty możesz się czasami do czegoś przydać!

Nie wiem dlaczego, ale miałem ochotę ją udusić. Im dłużej jechaliśmy i im głębsze było między nami milczenie, tym bardziej mnie ta dziewczyna denerwowała. Zachowywała się, jakby była w samochodzie sama. Grała w tę swoją grę i co chwilę wydawała jęki radości albo zawodu, rozsypywała wokół siebie chrupki, kręciła się na siedzeniu i była irytująca. Zaczynałem rozumieć, dlaczego jej mama lubi szybko jeździć.

Kiedy wreszcie – po trzech godzinach pędzenia na łeb na szyję – dotarliśmy do Przejazdowa, byłem kompletnie umęczony. Z rozkoszą wysiadłem z auta i rozprostowałem nogi.

Mama Soni nie zamierzała zostać dłużej, niż to konieczne. Przywitała się z ciocią Stasią, wypila szybko

kawę na ganku i pognała z powrotem do miasta, do internetu i cywilizacji. A my z Sonią zostaliśmy w środku niczego.

– No i co mają takie ponure miny? Niech siądą i zjedzą ciasta rabarbarowego! – zachęciła nas ciocia Stasia.
– Nie mają przecież powodu do zmartwienia!

– Tak się tylko cioci wydaje – mruknąłem pod nosem.

– Często się, nie ma co dyskutować! – stwierdziła Sonia.

Ciasto było pyszne i słodkie. Obydwoje zgłodnieliśmy w czasie jazdy, więc zajadaliśmy się nim bez umiaru. Ciocia patrzyła na nas z politowaniem, mówiła coś o miejskich głodomorach i donosiła z kuchni kolejne kawałki na porcelanowych talerzykach malowanych w jarzębinę.

Kiedy przyjrzałem się cioci bliżej, nie wydała mi się aż taka stara. Fakt, miała siwe włosy upięte w kok na czubku głowy i mnóstwo zmarszczek na twarzy, ale poruszała się żwawo, mówiła głośno i energicznie, a uścisnąć potrafiła tak, że człowiek czuł się jak jajko w imadle.

– No i co się gapi? – głos ciotki szybko wyrwał mnie z zamyślenia. – Niech odniesie talerzyk i rozpakuje swój bagaż! Lato czeka!

Sam już nie wiedziałem, czy bardziej denerwują mnie utarczki z Sonią, czy sposób, w jaki zwraca się do nas ciocia Stasia. I do tego ten jej dziwny akcent. Kiedyś w telewizyjnym reportażu o Ukrainie widziałem tamtejszych Polaków mówiących z podobnym akcentem. Być

może ciocia też pochodziła ze Wschodu? Bo jeśli nie była stamtąd, to na pewno była z piekła rodem, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości.

Powlokłem się na górę, dźwigając swój plecak i pęką walizkę Soni, której ta nie omieszkła mi wcisnąć.

– Trzeba pomagać dziewczynkom! – syknęła z perfidną miną.

– Napchałaś tam kamieni czy to twoje tanie dezodoranty tyle ważą? – odciąłem się.

Sonia uniosła ramię i powąchała się pod pachą.

– Może i są tanie, ale przynajmniej pachną. A ty śmierdzisz po podróży jak kiszona skarpeta!

– Skoro tak, to sama sobie targaj te swoje graty! – Zostawiłem jej walizkę na półpiętrze i ruszyłem dalej.

Nasz pokój był wielki, gorący i starannie uprzątnięty. Pod ścianami stały dwa łóżka, była też szafa, rozkładany parawan i stolik na giętych nogach.

– Parawan jest

mój! – oznajmiła Sonia i chwyciła ciężką, metalową konstrukcję, żeby przenieść ją w pobliże jednego z łóżek. – Tu będę spać – dodała. – A ty tam! I masz nie podglądać, jak się będę przebierać!

– Też bym miał co podglądać! – prychnąłem. – Myślisz, że kija od miotły nie widziałem?

– Zaraz możesz go zobaczyć z bardzo bliska! – zagroziła Sonia. – A skoro mowa o miotle, to zrób coś z włosami. Sterczą ci we wszystkie strony jak klaunowi! Pewnie od tej czapeczki.

Przyglądziłem włosy przed lustrem, rozpakowałem się i klapnąłem na łóżko z mocnym postanowieniem powrotu do domu przy najbliższej nadarzającej się okazji.

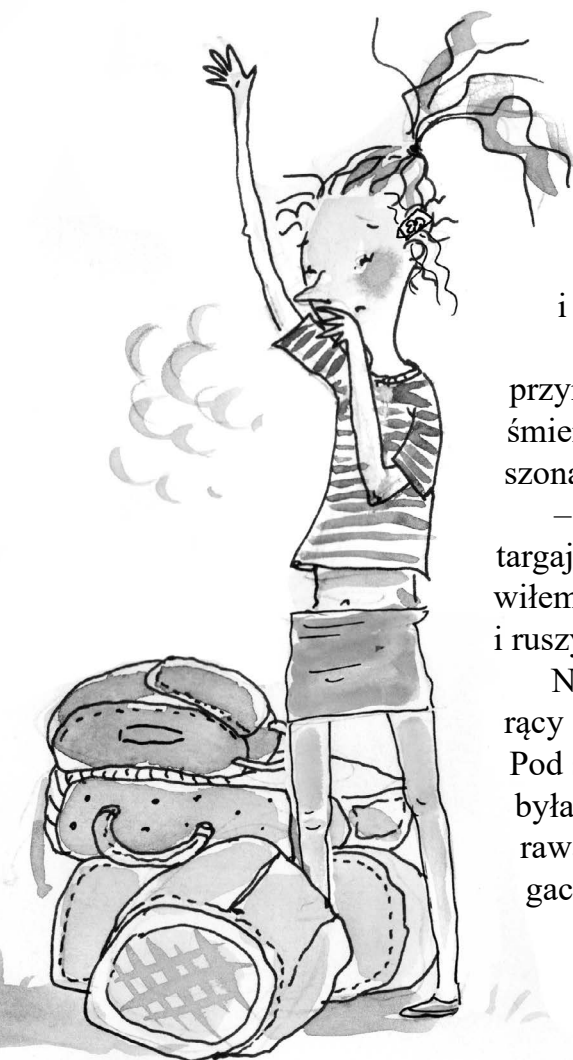
– I co my tu będziemy robić? – zapytała Sonia, rozglądając się bezradnie po pomieszczeniu.

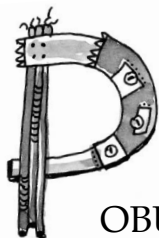
– Jak to co? Kłócić się – uświadomiłem ją. – Przecież jesteś w tym świetna.

– Daj spokój, kuzynku – powiedziała z rezygnacją. – Kłótnie są dobre na pierwszy dzień, a potem?

– Podobno jest tu w pobliżu jakieś jezioro – mruknąłem.

Spojrzała na mnie i westchnęła. Chyba uświadomiła sobie, że w tej głuszy jesteśmy skazani wyłącznie na siebie.





OBUDKA, WSTAĆ!

Następnego dnia ciotka zbudziła nas o świcie.

– Pobudka, wstać, koniom wody dać! – śpiewała na cały głos, odsuwając firanki w naszym pokoju.

– Proszę pani, ja się poprawię! Już będę grzeczna! – zabelkotała Sonia przez sen, przewracając się na drugi bok i naciągając kołdrę na głowę.

– Co się stało? – wysapałem, przecierając oczy. – Jakim koniom?

– To ludowa przyśpiewka! Jak nie znają, to niech się nauczą! – ciocia nie dawała za wygraną. – Wyłazić z barłogów, mieszczuchy!

Nie mieliśmy wyjścia. Wygramoliliśmy się z łóżek i pocałowaliśmy do łazienki.

– Wiedziałam, że tak będzie – naburmuszyła się Sonia, wyciskając pastę do zębów na swoją elektryczną szczoteczkę. – Ta stara wariatka nas zamęczy!

– Mój tata też to przewidział – potwierdziłem smętnie. – Ale teraz za późno na narzekanie...

– Zawsze możemy uciec – stwierdziła Sonia. – W mojej szkole była dziewczyna, która zwała z domu.

– I co? – zainteresowałem się.

Sonia machnęła ręką z rezygnacją.



– I nic. Złapali ją tego samego dnia. Próbowaliśmy skorzystać z toalety na dworcu bez płacenia.

– No widzisz! – pocieszyłem ją. – A my możemy tu sikać do woli, i to za darmo!

– Jejku, jaki ty jesteś durny! – Sonia przewróciła oczami i zabrała się za zaplatanie kilku cienkich warkoczyków w okolicach swojej lewej skroni.

– Niech złączą na ganek, zamiast się stroić jak na dyskotekę! – ponaglący krzyk cioci Stasi przerwał naszą rozmowę. – Nie będę czekać w nieskończoność!

Westchnęliśmy ciężko i zbiegliśmy po skrzypiących, drewnianych schodach. Do połowy obudzony, z do połowy umytymi zębami i do połowy zasnurowanymi butami czułem się jak bohater kiepskiego komiksu.

Powietrze na zewnątrz było rześkie. Niebo nad domem różowiło się, a niewidoczne ptaki pitoły jak najęte wśród gałęzi. Ciocia Stasia stała przy furtce w gumiakach i niecierpliwie postukiwała żeliwnym wiaderkiem o sztachety.

– Dokąd idziemy? – zapytałem z rezygnacją.

– Jak to? Nie mówiłam wczoraj? Na cmentarz!

Wymieniliśmy z Sonią porozumiewawcze spojrzenia.

– A nie możemy wziąć rowerów? – zamarudziła Sonia. – Będzie szybciej!

– Oooo, kochana! – zaśmiała się ciocia. – Rowery są dobre dla was, młodych! Stara ciotka nie ma już siły pedałowac. Podrepczemy sobie powolutku...

– Ciekawe, co będziemy robić na tym cmentarzu? – szepnęła Sonia, kiedy wyszliśmy na ścieżkę wijącą się wśród drzew. – Może ciocia to maniakałny morderca? Albo wyznawczyni jakiejś krwawej religii?

– Co ty! – pocieszyłem ją. – Widziałas kiedyś maniakałnego mordercę ze sztuczną szczęką?

Ciocia prowadziła, a my podążaliśmy za nią, rozglądając się ciekawie.

Jeszcze nigdy nie byliśmy w lesie tak wcześnie. Było cicho i niezwykle. Krople rosy lśniły w pajęczynach, a nieliczne, ukośne promienie słońca przebijające się przez gęste liście drzew malowały malutkie, ciepłe plamki na mchu. Przypomniało mi to pewien obraz, który widziałem w czasie lekcji muzealnej.

Cmentarz okazał się zagubioną wśród lasu polanką zarośniętą wysokimi chaszczami. Spośród nich tu i ówdzie wystawały zniszczone, granitowe płyty nagrobne z pozacieranymi przez czas i deszcze napisami.

– Kto tu leży? – zapytała Sonia.

– Wujek Zygmunt – odpowiedziała ciocia Stasia, podchodząc do jednego z grobów. – A obok ten przekłety Heinrich.



– To ten Niemiec od wieży? – zapytałem nieśmiało.
– We własnej osobie – potwierdziła ciocia. – Chociaż „leży” to za dużo powiedziane. Obydwa groby puste jak barani łeb.

– Jak to?

– Tak to. Kamień jest, ale pod spodem nikogo. Jednego dnia obydwaj wyszli z domu i nie wrócili. Czekałam na nich rok, a potem pochowałam puste trumny, bo co było robić. Każdy nieboszczyk musi mieć grób, choćby i tylko taki...

Cioci zaszklili się oczy.

– A pozostałe groby? – zapytałem szybko, żeby zmienić temat.

– To stare, niemieckie mogiły z czasów wojny. O nie też ktoś musi zadbać, to się samo przez się rozumie! – dodała, wręczając nam szmatki i płyn do czyszczenia.

– I po to tu przyjechaliśmy? Żeby pucować mogiły?

– Nie tylko! – odparła ciocia. – Niech się dobrze rozejrzą!

Spojrzeliliśmy dookoła. Nie zauważyliśmy niczego poza chaszczami, drzewami i nagrobkami.

Widząc nasze pytające spojrzenie, ciocia westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– Toż tutaj rosną najpiękniejsze jeżyny w całym lesie! Ot co! Jak skończą czyścić groby, niech zrywają do woli. Tylko niech nie zeżrą wszystkich, bo potrzebuję parę słoczków na przetwory!

– A ta konfitura, która była przedwczoraj na śniadanie, to właśnie z tych jeżyn? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Ma się rozumieć! – odparła dumnie ciocia. – Tylko niech nie mówi, że mu nie smakowała!

Wzdrygnęliśmy się z Sonią.

– Smakowała, jeszcze jak, ale... nigdy wcześniej nie jedliśmy jeżyn z cmentarza – powiedziałem.

– To najwyższy czas zacząć – zawyrokowała ciocia. – Tutejsze owoce lasu lepsze niż te z waszych supermarketów. Tam to wszystko sztuczne albo chińskie, nawet czosnek! Niech nie myślą, że stara ciotka nie wie, co się na świecie wyprawia!

– Może ona wcale nie jest taka zwariowana, jak nam się wydawało? – mruknąłem, pucując pierwszy z grobów.

– Może... – zgodziła się Sonia. – Ale jeśli codziennie będzie nas tak wcześnie budziła, to ja na sto procent oszaleję!

Wypucowanie nagrobków i zebranie pełnego wiadra jeżyn zabrało nam dwie godziny. Kiedy wyruszyliśmy w drogę powrotną, słońce stało już wysoko. Zrobiło się też cieplej. Mimo to szliśmy powoli, bo ciocia często zatrzymywała się, aby odpocząć. Opierała się o pień drzewa i ciężko dyszała, a jej świszczący oddech rozbrzmiewał głośno na tle ptasich świergotów.

– Starość nie radość – narzekała pod nosem ciocia. – Niech sobie zapamiętają, żeby potem nie były zaskoczone!

– Nie wydaje ci się, że ciocia Stasia coś przed nami ukrywa? – powiedziała Sonia, kiedy po śniadaniu zasiadaliśmy na ganku, żeby przebrać jeżyny.

– Chyba nie jest zbyt zdrowa... – zauważyłem, wyrzucając kolejną szypułkę. – Czasami ma mnóstwo siły, a czasami nagle robi się słaba...

– Jeśli jest chora, to po co nas zaprosiła na całe lato?

– Nie wiem, może chce nas odkarmić, poćwiartować i przerobić na kotlety? – zażartowałem.

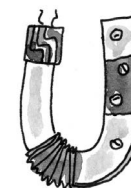
– Z ciebie toby miała sam smalec! – prychnęła Sonia.

– A z ciebie kości dla psa! – odgryzłem się.

– Dobrze już, nie denerwuj się, bo ci pryszcze wyskoczą! – prychnęła Sonia. – A tak w ogóle to ciocia powiedziała mi w kuchni, że po południu chce się położyć i odpocząć. Może wymknijemy się wtedy do wioski i spróbujemy dowiedzieć się czegoś więcej o tej całej wieży?

Kiwnąłem głową.

Musiałem przyznać, że Sonia bywała całkiem rozsądna i nierzadko wpadała na dobre pomysły. Ale i tak nie miałem zamiaru jej wybaczyć tego smalcu.



CIEKAJĄCY MOTYL

W Przejazdowie było nie więcej niż dziesięć chałup. Plus dom cioci Stasi. Ale on stał na uboczu, wśród lasu. Do wsi prowadziła stamtąd wąska, asfaltowa droga pełna dziur. Właściwie to dziur było więcej niż drogi. Dlatego, jadąc na rowerach, musieliśmy uważać, żeby nie zaliczyć nieplanowanego salta i nie wylądować w krzakach z wybitymi zębami albo złamanym nosem.

– Uwaga, uwaga, bo jedzie łamaga! – darłem się, próbując wyprzedzić Sonię na zakręcie.

– Ratunku, ratunku, bo nie znam kierunku! – piszcziała Sonia, zajeżdżając mi drogę.

– Na boki, na boki, bo pędzą tłumoki! – powtarzało po nas echo.

Zielona tablica z napisem „Przejazdowo” była niemal niewidoczna na tle lasu i zwieszających się nisko gałęzi drzew. Pewnie byśmy jej nie zauważyli, gdyby ktoś nie dopisał na niej czarnym sprayem słowa „City”.

– O, nasi tu byli! – zażartowała Sonia, która widywała wiele podobnych napisów na swoim osiedlu.

– Chyba twoi! – skrzywiłem się.

– A ty musisz być taki drętwy? Może połknąłeś kij do bejsbola, kuzynku?